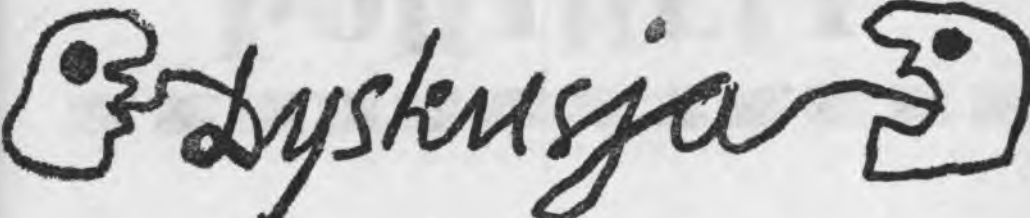


WOJEWODZKA  
BIOTEKA PUBLICZNA

# Dyskusja

Biuletyn  
Wojewódzkiego  
Domu  
Kultury  
w Białymstoku  
Nr 4/7 X-XII 1985

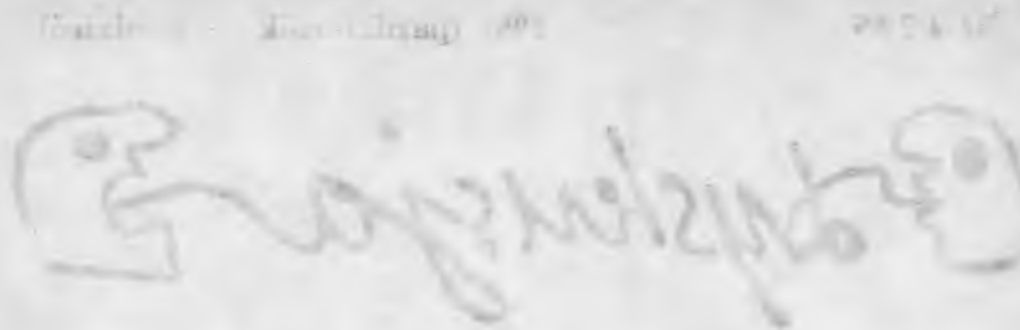


# Dyskusja

## BIULETYN WOJEWÓDZKIEGO DOMU KULTURY w BIAŁYMSTOKU

### W NUMERZE:

	str.
<b>PORTRETY</b>	
KAZIMIERZ DERKOWSKI — Pośpieszny . . . . .	3
MIROSLAW PUCIŁOWSKI — Fotoreportaż . . . . .	6
<b>KONTRA</b>	
PRZEMYSŁAW SKARŻYŃSKI — Kto się odważy? . . . . .	8
<b>MUZYKA</b>	
KRZYSZTOF OSTASZEWSKI — Mój przyjaciel blues . . . . .	12
ANTONI CZAJKOWSKI — Ragtime septet . . . . .	14
<b>LITERATURA</b>	
JANUSZ TARANIENKO — I ty zostaniesz . . . . .	21
ZBIGNIEW ŚLĄCZKA — Wiersze . . . . .	21
<b>KALEJDOSKOP KULTURALNY</b>	
Co słycać w terenie . . . . .	26
Roztrzygnięcie konkursu „Moja przygoda z kulturą” . . . . .	29
KAZIMIERZ KONOPKA — Świat, życie, prawo . . . . .	30
ZBIGNIEW WAYDYK — Fraszki . . . . .	31



**RADA PROGRAMOWA**

Kazimierz Derkowski, Izabella Pótorak, Jan Szaciłło, Adam Borysiewicz

**WYDAWCA:**

WOJEWÓDZKI DOM KULTURY W BIAŁYMSTOKU

**Redaktor merytoryczny** — Iwona Wąsowicz-Szczepaniak

**Redaktor graficzny** — Andrzej Dworakowski

**Ilustracje** — Andrzej Dworakowski

**Redaktor techniczny** — Jan Szaciłło

# PORTRETY

## POŚPIESZNY

W czasie kolejnej prezentacji Wojewódzkiej Giełdy Programowej Domów i Ośrodków Kultury w Uhowie na wystawie grafiki i rysunku znalazła się karykatura Włodzimierza Zmarzlika z Moniek, ilustrująca Jego osobowość. Zyciorys ma bogaty składający się z mozaiki różnorodnych zainteresowań artystycznych, publicystycznych, lotniczych i towarzyskich.

Jest to postać w białostockiej kulturze znacząca. Dzięki swojej pasji i dynamice (ostatnio trochę spuścił z tonu) zyskał całą gamę pseudonimów, takich jak: „Siwak”, „Gołąbek”, „Mrozek”, „Długa rura”, „Ziemiak” i oddający sedno Jego charakteru — „Pośpieszny”. Jak każdy człowiek posiada swoje wady i zalety. Po stronie aktywów Jego drogi życiowej w kulturze zapisać można: pozytywne przeobrażenia w aktywizacji kulturalnej środowiska; rozbudzanie zamiłowania do kultury społeczności wiejskiej; przyczynianie się do powstania zespołów folklorystycznych „Kuleszanki” i „Przytulanki”; przejawianie wielkiej troski o rozwój wiejskich klubów kultury; wybitne uspołecznienie.

Wadę w zasadzie ma jedną, po prostu jest za szybki w działaniu i wszystko trzyma w garści. W każdej akcji, gdzie brak „Pośpiesznego”, pozostali pracownicy gubią się, bo nie wiedzą, co wymyśli za chwilę ich szef. Mój serdeczny przyjaciel Włodek, od czasu, jak go znam, (od 1964 r.) tej swojej skazy charakterologicznej nie utracił i twardo przy niej trwa.

Oto kilka obrazów, ze wspólnie organizowanych imprez.

W konkursie „Na najlepszy klub” w latach 70-tych we wsi Słomianka przebrał miejscowego gajowego w mundur strażaka. Całą sprawę odkrył śp. Ryszard Grotowski, gdy „przyparł do muru” gajowego pytaniami z zakresu ochrony przeciwpożarowej, wówczas Włodek przyszedł się do maskarady.

W jednej z edycji „Święta Ziemiaka” uczestniczyli spadochroniarze z Aeroklubu Białostockiego. Wyłożono na polanie odpowiednie znaki, aby lądowanie odbyło się zgodnie z wymogami i zasadami pilotażu.

Nieporozumienie między ośrodkiem dyspozycyjnym, a „Andromedą” (nazwa samolotu) spowodowało lądowanie spadochroniarzy na budynku przedszkola, ulicy i Urzędzie Miasta. Refleks Włodka (marzył w młodości o lotnictwie) przydał się. To on spowodował, że natychmiast wyłączono w Mońkach prąd i spadochroniarze mieli względnie bezpieczne lądowanie.

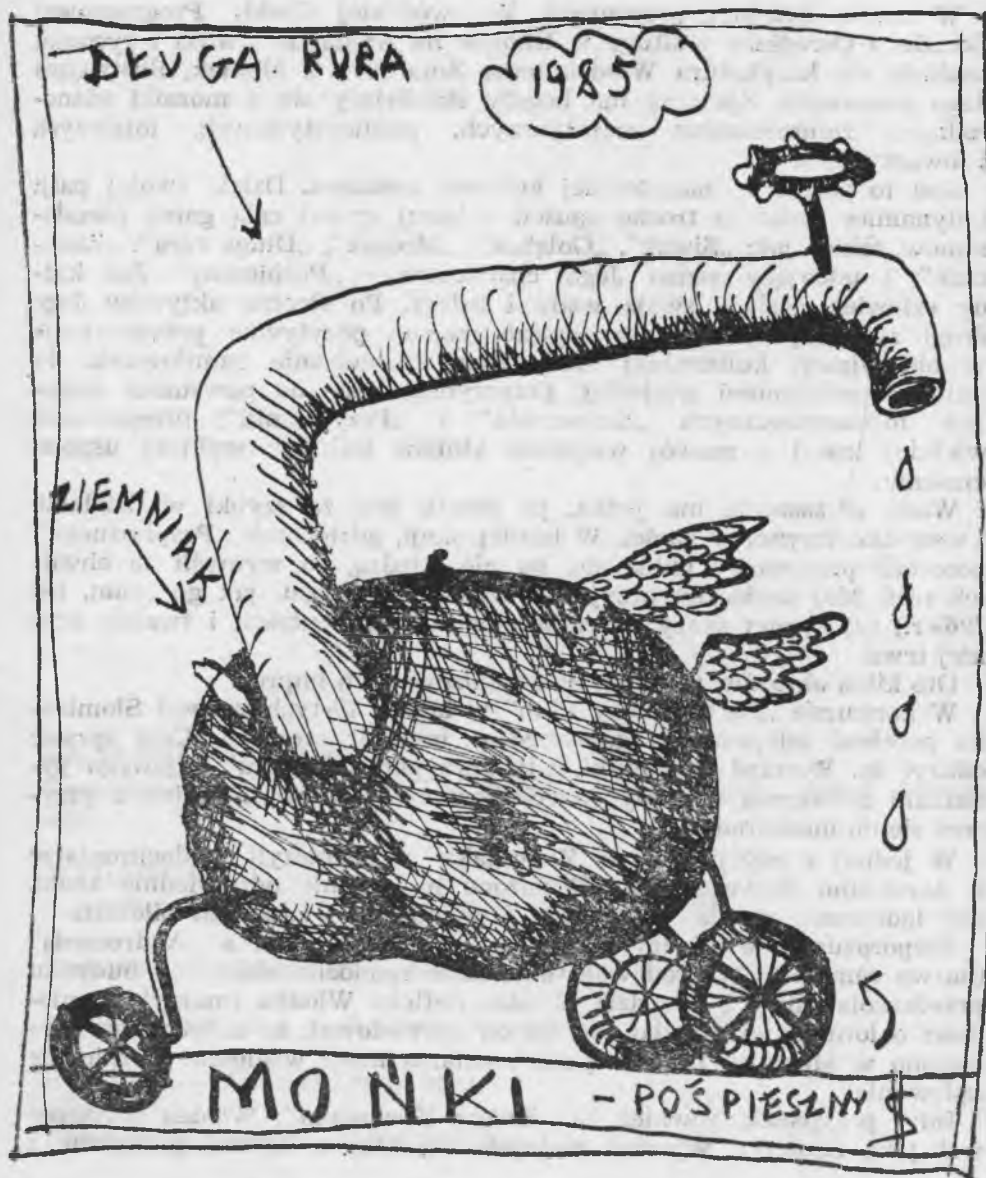
Inny przypadek, również ze „Święta Ziemiaka”, Włodek występował jako Sobieski. Wjechał dostojnie bryczką w asyście giermków z

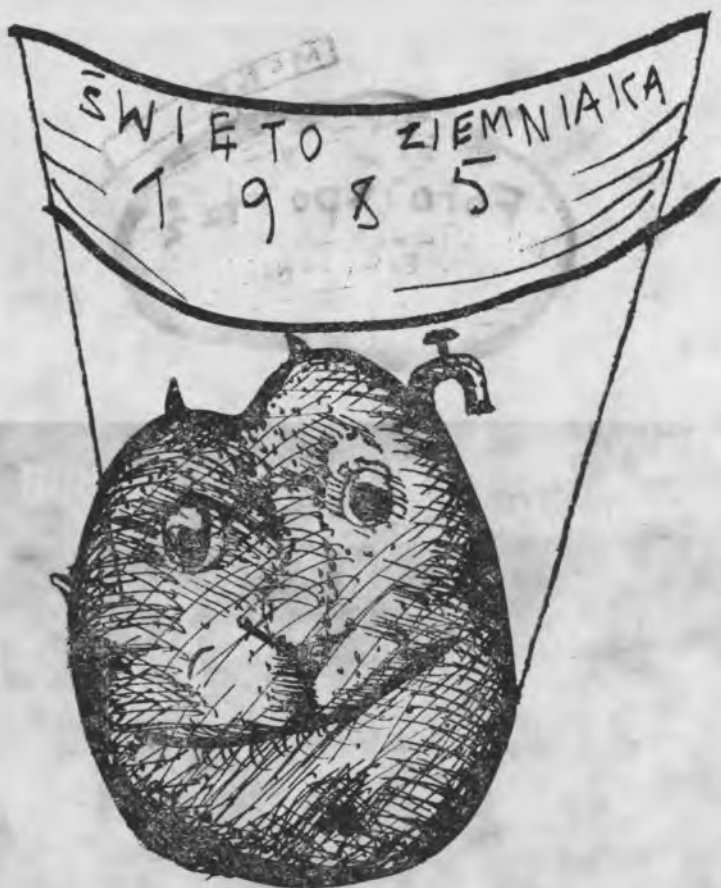
koszami ziemniaków na moniecki stadion. Odczytał, wynikające ze scenariusza kwestie i... właśnie, co zrobił? Wsiadł do bryczki, pociągnął lejce, a nieposłuszne konie poniosły go w tłum.

Finał był taki, że dwóch „ziemniaczanych” gości odwieziono do pogotowia ratunkowego.

Dyrektora monieckiej kultury uchwycić jest bardzo trudno. Jest szybki jak błyskawica, a przy tym niezwykle wszechstronny. Zarządza, dyryguje, gra na akordeonie, zna się na fotografii, recytuje, sypie anegdotami (flagowa o pstrągu), śpiewa (stworzył grupę „Wesołki”); pisze do gazet; udziela się społecznie w Monieckim Towarzystwie Regionalnym, TPPR i TPD.

Znają go wszyscy mieszkańcy Moniek i byłego powiatu monieckiego. Wśród pracowników kultury pełni honorową funkcję dziekana. Potrafi znaleźć wspólny język z ludźmi różnych środowisk, jest bezpośredni, przyjacielski i bardzo towarzyski. Nawiązuje szybko kontakty.





Na wymyślone przez siebie „Święto Ziemniaka” (miałem w tym swój udział) zapraszał górali, marynarzy, lotników, orkiestry wojskowe, grupy folklorystyczne, malarzy. Wśród gości był Wojciech Siemion, Krystyna Loska, kwartet „Beltono”, „Kurpie Zielone”, „Promini” i ... kilkutyśięczna widownia. W ostatnim 10-tym kartoflanym zbiegowisku pobito rekord frekwencji (ponad 15 tys. widzów).

Włodek ma w sobie to, co Florian Znaniecki określa fanatyzmem. Poświęcił kulturze całe swoje życie i co sam stwierdza, również i rodzinę. Wiecznie młody, żarliwy i entuzjastyczny — zapala swoją osobowością młodych adeptów do pracy w kulturze. Ostrzega ich jednak przed całkowitym oddaniem się tej pracy, bo może ich spotkać podobna historia związana z utratą życia osobistego. Za swoją, ponad 30-letnią działalność na Białostocczyźnie odznaczony został Krzyżem Kawalerskim Odrodzenia Polski, Medalem Edukacji Narodowej, odznaką Zasłużony Działacz Kultury i Zasłużony Białostocczyźnie, złotymi odznakami TPPR i TWP.

Znając Włodka i jego osobowość śmiem twierdzić, że jego dziecięce marzenia o lotnictwie spełniły się w kulturze. Dynamika i szybkość są w jego naturze. „Pośpieszny” to człowiek z katowickiego, który dzięki miękkiemu lądowaniu osiadł na Białostocczyźnie i tu trwa. Oby jak najdłużej służyło mu zdrowie i trochę szczęścia, którego w życiu nie miał za wiele.

**Kazimierz Maksymilian  
Derkowski**

MONKI

Fotoreportaż  
Mirostawa  
Puciłowskiego



Na „Święto Ziemniaka” do Moniek przybyli — władze wojewódzkie, lokalne oraz delegacja z Litwy.

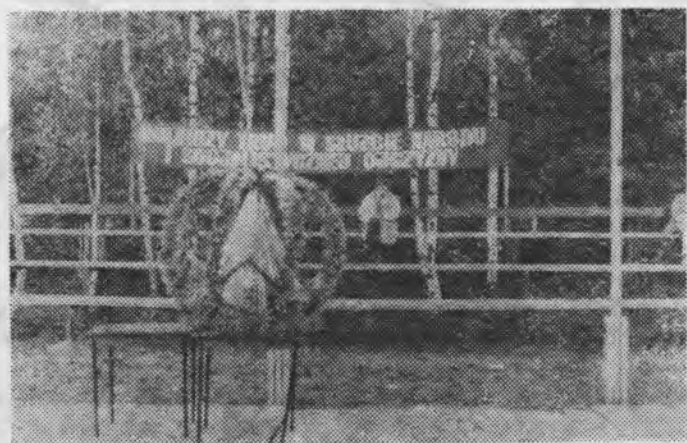


Górale z Białego Dunajca.

Z Knyszyna przybiegł maratończyk  
Wiesław Olesiewicz.



Wysłannik Jana III Sobieskiego



Pozostały: świąteczne  
wieńce i dorodne zie-  
mniaki





# KONTRA



## KTO SIĘ ODWAZY?!

Na kulturę w ujęciu socjologicznym składa się materialny i duchowy dorobek ludzkości, przekazywany z pokolenia na pokolenie. W skład tak pojętej kultury wchodzi nie tylko wytwory materialne i instytucje społeczne, ale także zasady współżycia, sposoby postępowania, wzory, kryteria ocen estetycznych i moralnych przyjęte w danej zbiorowości i wyznaczające obowiązujące zachowania. Tak powiadają uczeni.

Na Dom Kultury składają się: budynek oraz akcje oświatowe i rozrywkowe, przekazywane z roku na rok. W skład tak pojętej instytucji wchodzi nie tylko pracownicy, społecznicy i pieniądze, ale także programy, sposoby wdrażania, wzory, kryteria ocen formalnych i statystycznych przyjęte w układzie zbiorowym i wyznaczające obowiązujące normy. Tak głoszą programiści.

Na naszą obecną codzienność składają się, bywa, półtwory materialne i instytucje społeczne, ale pozostałych zasad współżycia zaczyna brakować. Tak odpowiada praktyka życiowa.

No i co? Mamy zupełnie niezły tryptyk. Dzieło może nieco rozbieżne w skrzydłach, ale z dokładnie nieruchomą częścią w środku. Dzieło, któremu należy się dokładnie przyjrzeć, bowiem jeszcze nie skończone i nadające się do poprawek. A o tym, iż te są niezbędne przekonujemy się na każdym kroku.

Kiedy w zatłoczonym autobusie ktoś kogoś zdrowo depnie po palcach, lub kopnie w łydkę, zazwyczaj słychać przeraźliwy syk i bezkartkowe „mięso” obtłukuje zabiletowanych. Czasami zaś taka sytuacja kończy się dialogiem:

- O! Przepraszam — odzywa się kopiący.
- Proszę bardzo. Nie szkodzi — odpowiada kopany.
- Dziękuję — dorzuci atakujący.
- Dziękuję — ze łzami szczęścia zakończy poszkodowany.

Podobny typ wdzięcznej rozmowy daje się także zanotować w dialogu telefonicznym:

- Czy pani może powiadomić Józia, że dzwoniła Zuzia?
- Mogę.
- Dziękuję.
- Dziękuję.

Pozornie i obyczajowo wszystko się niby zgadza. Padają słowa jakby gdzieś zasłyszane, a od tego — dziękuję — robi się tak słodko, jak od grejpfruta zjedzonego raz do roku zamiast pomarańczy. W tym miejscu jednak można zadać pytanie: czy to jest brak kultury, czy też świadomości?

Odpowiedź może być jednoznaczna, ale pozostawmy ją zaintereso-

KTO

SIE

OD WAZY

PETENT



wanym i przyjrzyjmy się kolejnym sytuacjom.

Oto urzędnik lekceważy petenta, wiedząc, iż tamten jest zupełnie bezsilny:

— Odpis skrócony aktu urodzenia jest?

— A po co? Mam przecież wpis w dowodzie osobistym.

— Ja też mam wpis w liście płac, a nic z tego nie wynika. Proszę przynieść dokument.

— Ależ to szkoda czasu.

— No właśnie. Następny proszę.

Oto na ulicy młody człowiek dostaje w twarz od starszego i musi dać dwie dychy. Musi dać, bowiem tamtemu zawsze dawano to co chciał. Zwłaszcza wtedy gdy jako dziecię tupał i pobijał rodziców przed każdą wystawą, a ci kupowali w te pędy, co popadło.

Weźmy z kolei rodzinę przy świątecznym stole. Wszyscy jedzą i ciamkają, piją i zgrzytają zębami, a potem resztki wraz z kawałkami chleba wyrzucają na śmietnik. Ostatnio bywa i tak, że niedokończoną zupę wylewają przez okno kuchenne na ulicę. Ale kto ma im przypomnieć, że przez wieki, gdy chleba było w nadmiarze, szanowano każdy jego okruc. Skąd mają wiedzieć, iż jedzenie niegdyś było obyczajem, a nie zarcciem.

A gdzież szacunek do człowieka, bez względu na jego przynależność w kręgach towarzyskich. Mówimy dzień dobry, lecz nie potrafimy się uklonić. Zmniejsza nam się zasób używanych słów rodzimego języka, co wcale nie oznacza, że w innych nam się zwiększa. Brakuje papieru, a wielu z nas nawet: witajcie kochani, nie umie powiedzieć bez kartki, tki.

Ci sami, którzy w Pewex-ie stoją kornie w kolejce i są nad wyraz grzeczni, przed innym sklepem rozerwaliby na kawałki delikwenta chcącego kupić kilogram jabłek zanim reszta doczeka się na przywóz cytryn.

Małżeństwo zaczyna nam przeszkadzać, partnerstwo przestaje istnieć, a samotność pojawia się już w szkołach. Dobre wzorce zaś schowały się głęboko w nie czytanych lekturach, a my nagradzamy tych, którzy jeszcze chcą jako tako pracować.

Jednym słowem, nie akcji oświatowo-rozrywkowych tu potrzeba, ale nauki kultury od podstaw. Zwłaszcza teraz, gdy w szkołach prócz grona nauczycieli zaczynają pojawiać się jednoosobowe stanowiska pedagogów. co oznacza, iż w tej dziedzinie coś jakby się namieszało. Uczyć, to nie zawsze znaczy wychowywać — ciekawe, skąd się to wzięło? Ponieważ jednak ciekawość, to pierwszy stopień do piekła, zostawmy smażenie dusz i wracajmy na chłodno do istniejącego stanu rzeczy.

Człowiek ostatnio taki zabiegany i znerwicowany, że trudno mu być innym — słyszy się zewsząd głosy argumentujące obecny zanik podstawowych zasad kultury. Człowiek nie ma czasu pamiętać o tym, iż jest człowiekiem — zaczynają nawet przebąkiwać zagonieni w kozi róg, czyli do ludzkiego kąta. Kto nie był ni razu człowiekiem, temu człowiek nic nie pomoże — przypomniawszy swego czasu Adam Mickiewicz i to winno stać się kontrargumentem na owe narzekania.

Żeby jednak tak się stało, ktoś musi naszej społeczności otworzyć oczy oraz rozświetlić mózgowie. I to nie laserem, lecz codziennym, wytrwałym wskazywaniem podstawowych zasad egzystencji. Konkursy recytatorskie, teatryki, przyspiewki ludowe, piosenki rock-owe, czy też spotkania z ciekawymi ludźmi — jakby innych nie było, niewiele w rezultacie zdołały w tej dziedzinie zrobić.

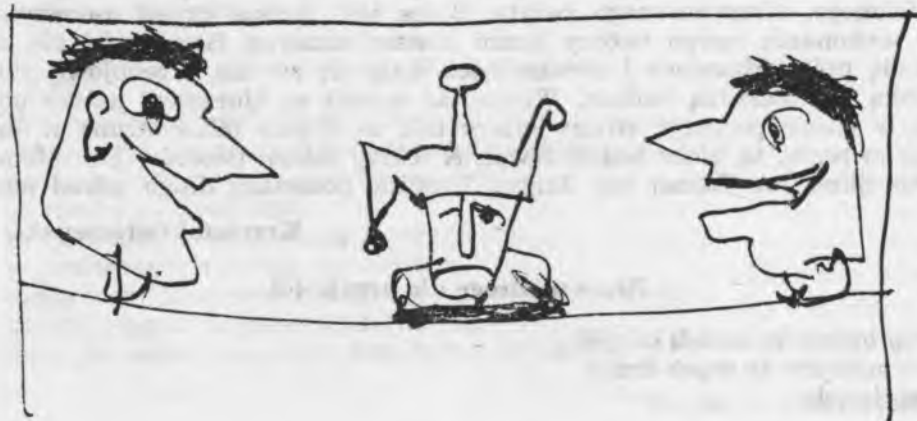
Czy jednak Domy Kultury są przygotowane do prowadzenia nauki — tak, nauki, a nie upowszechniania — tej zdawałoby się najprostrzej

i zostawianej jakby z boku kultury bycia? Czy są w stanie podjąć się tego, co zanika w rodzinach, co jest niemożliwe w zatłoczonych szkołach i czego żaden majster nie wbije pracownikowi łopata do głowy? Osobiście myślę, że — niestety — nie. Patrząc, rzecz prosta, na wszystkie placówki zwane domami kultury.

Mój pesymizm wynika zaś stąd, że właściwie w żadnym regionie kraju nie przestawiono wieloletnich, utartych planów k-o w tym kierunku, ani też kadra, poza małymi wyjątkami, nie ma doświadczeń w tej dziedzinie. Doświadczeń wynikających nie tylko z pracy, ale i z życia.

Sytuacja pozornie bez wyjścia, choć nie wszystko jeszcze stracone i najwyższy czas, by o tym zagadnieniu pomyśleć. Trudno, co prawda, oduczyć kelnerów, by nie kładli sztućców na serwetki niewiele czystsze niż obrusy, ale na pewno można młodych, dorastających nauczycieli nie tylko tego, do czego służy wycieraczka przed Domem Kultury i — powiedzmy — chusteczka do nosa. Można i trzeba wpoić im pozostałe normy współistnienia, które przecież nie tak dawno cechowały nasze społeczeństwo. Tylko kto się odważy zmienić programy, kto się odważy być pierwszym?

**Przemysław Skarżyński**



# MUZYKA

## MOJ PRZYJACIEL BLUES

Czym jest blues, czym był? Znany był człowiekowi od dawna, zanim jeszcze otrzymał swoją nazwę. Opowiadał ludziom o zmartwieniach, leczył ich złamane serca, dawał nadzieję, podtrzymywał w wierze. Każdy pieśniarz bluesowy to niejako opowiadacz historyjek. Pierwsi twórcy byli osamotnieni, słabo znali angielski, najczęściej kilka zdań zasłysanych od swoich panów które powtarzali jak papugi po angielsku, a niektórzy nie umieli nawet tyle. Wyrażali swój żal poprzez jęk i zawodzenie, krzyk i wrzask. Potrzeba wykrzyczenia najgłośniejszemu jak tylko można, by ktoś ukochany powrócił znów, niepowstrzymane pragnienie stania się wolnym to właśnie stworzyło fundament gatunku, któremu nadano później nazwę blues.

W wielu utworach bluesowych została zapisana długa wyczerpująca walka narodu o przystosowanie się i odnalezienie szczęścia w obcym dla siebie kraju. Tym bardziej, że w kraju tym było się niewolnikiem bez prawa do własnego życia i zachowania własnej osobowości. Ale nie tylko ten żal i tęsknota były pierwszymi tematami bluesowych utworów. Znalazły się tam także momenty szczęścia i wielkich nadziei. Wśród wczesnych tematów bluesowych znalazły się opowieści o dalekim gwiazdzie odjeżdżającego pociągu, o wyjąłych psach goniących samotnych wędrowców, mętnych wodach wielkich wzburzonych rzek i wydrażonych spławianych nimi kłodach, ale najwięcej było w nich samotności i bólu serca. Bo najczęściej w bólu serca i samotności człowiek chwytął za gitarę i pióro. Gdy grał zapominał, a to było najlepszym lekarstwem na beznadziejność sytuacji w jaką rzuciło go życie.

To co początkowo było indywidualnym środkiem wyrazu uciemzonego murzyna, dziś stało się środkiem wyrazu całego świata, zostało przyjęte jako język uniwersalny. Ludzie którzy piszą bluesy i ludzie którzy je śpiewają dają swoisty rodzaj kuracji dla współczesnego zagubionego, sfrustrowanego świata. Blues jest zawsze czymś osobistym, w wykonaniu swego twórcy brzmi zawsze szczerze. Blues mści się za każdą próbę kłamstwa i nieszczerości, staje się zwykłą przebojową piosenką lub tandetną balladą. Wierzę, że dopóki są bluesmeni którzy będą w stanie poruszyć struny gitary tak, że drgnie jakaś struna w ludzkim sercu, to blues będzie trwał. A teksty takich twórców jak: Memphis Slim, Joe Turner czy Jimmy Rushing pozostaną długo wśród nas.

Krzysztof Ostaszewski

### Blues na drogę dla przyjaciół

*Gdy będziecie chcieli odejść  
nie pukajcie do moich drzwi  
przyjaciele*

nie będę miał już czasu dla waszych spraw  
nie powiem wam nic na pożegnanie  
Wybraliście swoją drogę  
daleko od mojego przeddeptanego szlaku  
przyjaciele  
na waszych autostradach pełnych słońca  
nie ma miejsca na moje zakurzone historie  
przyjaciele  
Ale gdy będziecie chcieli tu powrócić  
moje drzwi stoją przed wami otworem  
przyjaciele  
moje sprawy otworzą wam serce  
słuchając waszych opowieści wypijemy zdrowie  
za tych co jeszcze pozostali na szlaku

### Przyjdź do mnie

Jeśli zechcesz mnie spotkać  
nie szukaj mnie tam gdzie byłem wczoraj  
w tym samym barze nie ma mnie  
a moja szklanka stoi nieruszona  
wypij za moje zdrowie  
Jeśli zechcesz mnie spotkać  
nie szukaj mnie tam gdzie byłem przed tygodniem  
nie ma mnie już w łóżku tamtej kobiety  
a ty możesz ogrzać się ciepłem jej ciała  
i powiedz jej że już nie jest moją jedyną miłością  
Jeśli zechcesz mnie spotkać  
nie szukaj mnie tam gdzie byłem przed miesiącem  
most na rzece gdzie zażywałem radosnej kąpieli  
będzie pusty o tej porze roku  
może uda ci się zobaczyć wstającą tęczę  
Jeśli zechcesz mnie spotkać  
nie szukaj mnie tam gdzie byłem przed rokiem  
moja cela w okręgowym więzieniu została pusta  
na pustyni za miastem znajdziesz łańcuchy z moich kajdan  
może przydadzą się gdy spotkasz mnie następnym razem  
Jeśli zechcesz mnie spotkać  
nie szukaj mnie w barze  
tamta kobieta też ci nic nie powie  
tęcza nie wskaże ci kierunku w którym odszedłem  
a łańcuchy znajdziesz na pustyni za miastem  
Jeśli zechcesz mnie spotkać...

### Moja Pani

Nie pieść mnie kiedy biorę gitarę  
jej dźwięku nie zastąpi słodycz twojego głosu  
nawet w łóżku wolę jej odrapany gryf  
od twojej gładkiej szyi  
twoje miłosne kłamstwa są marną prozą  
w porównaniu z poezją jej dźwięku  
a gdy biorę ją w ręce i zaczynam rozmowę nasz duet  
potrafi wygrać najpiękniejsze bluesy  
jakie poznaliśmy w czasie wspólnej wędrówki.

## RAGTIME SEPTET

1.

Mikrobus białostockiego „Orbisu” miękko pokonywał nierówności szosy. Siedząc obok kierowcy sennym wzrokiem śledziłem wpadające pod koła pasy osi jezdni. Dopiero minęliśmy Warszawę, a jeszcze kawał drogi przed nami. Późnym wieczorem będziemy na miejscu. Moją chęć do drzemki przerywały dobiegające z tyłu samochodu wybuchy śmiechu. Wszyscy skupieni wokół „Mecenasa”. To znak, że znowu zaczęli dowcipkować...

W oknach naszego pojazdu umieściliśmy duże napisy: „RAGTIME SEPTET” oznaczające nazwę naszej kapeli. „Ragtime Septet” brzmiało poważnie, dosyć dumnie, no i obiecująco.

Na razie idzie nam zupełnie dobrze. Gramy to, co lubimy najbardziej — jazz tradycyjny. Inna muzyka zeszła na bok.

Dobrze się stało, że splotem różnych przypadków, w tak niedużym mieście zebrała się siódemka ludzi mających akurat ochotę grać coś zupełnie innego niż „Czerwono-Czarni” czy „Czerwone Gitary”. Siódemka, czyli septet, więc trąbka, klarnet, puzon i sekcja rytmiczna, tj. banjo, fortepian, perkusja i u nas tuba w miejsce kontrabas. Klasyczny skład ragtimowy. Dobrała się wzajemnie grupa siedmiu „chłopów” i postanowiła czuć to samo... jak jeden... i czuje.

W tym składzie, jako kapela jazzowa, na serio zaczęliśmy ćwiczyć od stycznia 1970 roku. Siedzę więc w tym mikrobusie i „dumam”, że jeszcze trochę więcej niż miesiąc i miną dwa lata solidnej harówki. Septet się nie rozleciał i nikt ze składu nie uchył. A większość żonata, dzieciata i ma swoje różne obowiązki.

Kazik Glinka pochodzi spod Myszynca. Tam się uczył trochę w Ognisku na trąbce. Później grał w wojsku w kasynie, do tańca, a po wrocie ożenił się z ładną blondynką — mieszkanką naszego miasta — i tu już pozostał. Nazywaliśmy Kazika „pierwszą trąbą” zespołu, za co się początkowo trochę obrażał, niesłusznie dopatrując się złośliwości w tym określeniu. Krępy i słusznego wzrostu, wkrótce rzeczywiście wyrósł na pierwszoplanowego członka kapeli i przestał się dąsać. Kazik fascynował się Armstrongiem i Majewskim. Często słuchał „Old Timerów”. Jego dłonie trzymające trąbkę nie przypominały zupełnie rąk hydraulika. Do dziś nie wiemy, w jaki sposób, tak ciężko nimi codziennie pracując, Kazik chronił je od skaleczeń.

Jurek Ciukała pochodził z Elku gdzie skończył Zasadniczą Szkołę Zawodową w specjalności krawieckiej. W szkolnej orkiestrze mandolinowej próbował trochę na perkusji. Więcej o tym instrumencie dowiedział się, tak jak Kazik, w wojsku i także uczył się grać do tańca w kasynie. „Zaprawionej” swingiem samby nauczył się od perkusisty z Warszawy, gdy los przypadkowo zetknął ich podczas wspólnego „ki-blowania” w Jednostce. Właśnie tą sambą Jurek „przedstawił” nam się jako utalentowany „drummer” na którymś z dancinów i wtedy obaj z Jankiem postanowiliśmy spróbować zatrzymać go w środowisku. Jurek okazał się chyba najbardziej pracowitym członkiem zespołu. Poza próbami ćwiczył jeszcze 3—4 godziny, kilka razy w tygodniu.

Blondynek niewielkiego wzrostu, nosił zawsze ciemne okulary. Ktoś powiedział: „Mały”...

„Mecenasem” zwaliśmy Tadek Zawistowski, wcale nie dlatego, że był od nas trochę starszy. Tadeusz nauczył się grać na puzonie...gdzie?... oczywiście w wojsku. Na co dzień pracował jako urzędnik — kontroler w pionie spółdzielczym „Społem”. Miał swój, trochę arbitralny, sposób



bycia zjednujący mu szacunek i sympatię. Umiał cementować naszą grupkę. Ktoś, zdaje się Janek, nazwał go „Mecenasem” i już tak zostało.

Florek Czaplicki był najmniejszy wzrostem, ale grał na największym instrumencie. Pobierał kiedyś prywatne lekcje na trąbce, grał jakiś czas w lokalach Elku i Augustowa, aż w końcu wrócił w rodzinne strony. Jego starsi już rodzice mieli pod miastem gospodarstwo. On, jedyny z braci, zdecydował się pozostać. Florek czytał nuty dobrze, a że grał w przeszłości w orkiestrze dętej... w wojsku... a jakże... toteż nie miał większych problemów z przejściem na tubę.

A Janek? Janek Zalewski edukację muzyczną otrzymał w białostockim Technikum Mechanicznym. Grał tam u znanego kapelmistrza Łomaski w orkiestrze dętej. Tylko on jeden z przebranej grupy „wstępniaków” wytrzymał z wymagającym dyrygentem i nauczycielem w jednej osobie cały pięcioletni okres aż do matury. Dzięki temu opanował całkiem dobrze klarnet i saksofon. Janek nieźle improwizował. Swingowanie miał we krwi. Po skończeniu Technikum nie powrócił do rodzinnego Szczuczyna. Tu poznał dziewczynę, tu się ożenił i tu, jak Kazio, zamieszkał.

Z przekonaniem do jazzu tradycyjnego najprawdziwsze kłopoty mieliśmy z „Ratajem” — Tadekiem Skarzyńskim. Tadek skończył elcką szkołę muzyczną, grał muzykę rozrywkową na fortepianie i nieźle opanował gitarę elektryczną. Najmłodszy z nas wszystkich, namiętnie uprawiał big beat i nie wierzył, że granie na banjo może także fascynować. Nie chciał początkowo brać tego instrumentu do ręki. Wkrótce wypo-



zyczyliśmy aż w Pieszku autentycznego „Premiera”. Tadek „poczuł” w końcu instrument i przestał marudzić, że woli na gitarze.

Do dziś nie wiem, skąd się wzięło „Rataj”. Może dlatego, że był — jak chłop — zawzięty i uparty na tę gitarę...?

...Dwa lata prób... w Białymstoku nie ma takiej kapeli, a u nas powstała... w tak małym środowisku...?

A dlaczego niby nie! Z sąsiednich powiatowych miast nasze było inne w muzyce. Jak sięgam pamięcią, po wojnie znany był wokół „jazz band” Perzanowskiego, zespół duży i tylko na „lepszych” zabawkach grający. Szanowali się. Później na dancingach swing albo blues słyszało się bardzo często. Rokrocznie w czasie wakacji jeździli tu, do swoich rodzinnych domów, koledzy — uczniowie średnich szkół, w tym i muzycznych, później studenci PWSM. Było ich kilku... czterech... pięciu, wszyscy mieli smykałkę do muzyki rozrywkowej... do jazzu także. „Naładowani” środowiskiem, w którym obracali się przez większą część roku, chętnie demonstrowali swoje umiejętności.

*Zapadł zmierzch. Za oknami mikrobusu migocą barwne neony, po lewej stronie okazały gmach... to dworzec kolejowy, a więc już jesteśmy w centrum Wrocławia. Jeszcze około 100 km jazdy i koniec podróży...*

Przygarnęła nas Budowlana Spółdzielnia Pracy. Zakład mieścił się w długim, przylegającym do starego parku baraku. Na poddaszu urządzono dwie pracownie, magazynek sprzętu i małą salkę widowiskową. Na małej scenie ledwie mieścił się fortepian.

Z początku graliśmy tylko standardy jak „Saint Louis Blues”, „Po słonecznej stronie ulicy” czy „Mackie — Majcher”...

Po dwóch miesiącach Kazik „złapał” formę. Usta miał „nabite”, świstał raz po raz grubo powyżej skali, no i w głowie miał pełno świeżych pomysłów. Kusilo, żeby teraz spróbować coś nowego i w ten sposób, pewnym późnym wieczorem po próbie, powstał „Klakson”. Była to opowiadka muzyczna o przejażdżce staroświeckiego „Fordy” ze sterzącą na zewnątrz przy kierownicy pseudotrąbką-klaksonem. Coś takiego miały jeszcze powojenne motocykle, a dzisiaj ludzie taką przyczepiają do kierownicy „składaków”. Wystarczyło ścisnąć sterzącą z tyłu gumową gruszkę i wydobywał się z tego śmieszny dźwięk. Właśnie refren w tym utworze kończył się stopniowym eliminowaniem instrumentów. „Dęciaki” kończyły ostatnią frazę w trzy — i dwugłosie z pozostawieniem na samym końcu samotnego, dwukrotnego — CHE! CHE! — w wykonaniu tej „pierzdiawki”. Wywoływało to serdeczny śmiech na widowni, a myśmy mieli też niezłą zabawę. Taki happy jazz. Później napisałem, jeszcze w tym samym stylu, „Pana Franciszka...”. „Pan Franciszek na polowaniu” (taki był pełny tytuł) opowiadał o pewnym dziadku, który w walonkach, w maju, wybrał się z siatką na motyle na polowanie. Akcja rozgrywa się na ukwieconej i rozkopanej przez krety łące. Sporo tam było zmian tonacji, zmian tempa, synkop i innych zagęszczonych akcentów rytmicznych, a wszystko to miało oddać podchody dziadka do motyli.

W drugim roku pracy zaczęliśmy grać większe wiązanki utworów dobieranych nie tylko pod kątem możliwości ich ujazowania. Tworzyły one pewną całość tematyczną. W ten sposób powstała „Wiązanka na tematy ludowe”.

...Wiosną 1970 roku, na przeglądzie w Białymstoku dostrzeżono nas. Otrzymaliśmy z WRZZ wyróżnienie, ale do jesieni nic się nie działo. Najlepszym zespołem były „Diamenty”. Liczyły się „Żółtodzioby”, „Tuzintony”. Elektryczne „deski” podłączone do kolumn — szaf — to był



szął. „Klawiszowcy” wstydzieli się grać na fortepianie, bo był chyba za cichy, więc szli do organów... Tamto wyróżnienie było dla nas na tyle istotne, na ile potwierdzało słusność wybranej drogi w licznych trendach muzyki młodzieżowej. A więc to co robimy nie jest takie przegrane z wszechwładnym beatem? Każdy czuł, jak dużo ma jeszcze do zrobienia na swoim instrumencie, ale wtedy, nareszcie, poczuliśmy ten „puls” w czasie grania.

Jesienią spotkał nas niespodziewany zaszczyt. Ktoś w województwie zdecydował, że obok „Diamentów”, my jako drugi zespół będziemy reprezentować województwo białostockie na Festiwalu w Jeleniej Górze. No, to pojechaliśmy. Program zagraliśmy bardzo naturalnie, bez większej tremy, zadowoleni będąc bardziej, że to nasze granie nam samym się podoba. Podobało się jeszcze publiczności i jurorom. Najnormalniej w świecie, bez specjalnych przygotowań, otrzymaliśmy II Nagrodę. Zdobyliśmy jeszcze coś więcej, uznanie w tamtym środowisku.

...Przed hotelem pierwszy wysiadł „Mecenas”. Z nabożeństwem ujął futerał puzonu wysoko pod pachę. Teraz z miną i ruchami nadętego filharmonika ruszył w stronę hotelu jak do Carnegie Hall. Wybuchnęliśmy śmiechem.

2.

Zapaliły się reflektory. Dwaj wojskowi fanfarzyści, stojąc po obu stronach sceny, odegrali specjalny hejnał. Burmistrz Jeleniej Góry ogłosił z namaszczeniem: „IX Krajowy Festiwal Piosenkarzy i Zespołów Amatorskich uważam za otwarty”. Buchnęły brawa, a ja poczułem tremę. Jest Polskie Radio, widziałem nawet kamerę TV, przyjechały nowe zespoły, pełno ludzi...

3.

„Regtime Septet” występował w drugim dniu, w drugim koncercie eliminacyjnym.

Przy ciepłych brawach poznającej nas publiczności, wchodzimy na scenę. Konferansjerzy z TV Wrocław przedstawiają skład zespołu i program. Podczas wymieniania nazwisk pierwszy dreszczyk. „Rataj” coś tam poprawia w instrumencie, „Mecenas” miętosi ustnik od puzonu. Cisza. Pierwszy „leci” „Klakson”. Jest „sygnaturka” z gumową gruszką, nabijam tempo..., po trzech minutach kończymy przy rozbawionej publiczności.

Teraz gramy „Lady be good”... jeszcze większy stylowy relaks. Zaczynamy się sami bawić. Kazik efektownie rozpoczął swój chorus wysoko w górze, później stopniowo w dół... Jurek — dwutaktowe przejście... teraz Janek od dolnych rejestrów zaczął... na końcu podniósł jeszcze wyżej temperaturę, grając wysoko efektowne melodyczne ostinato pod zmieniającą się harmonią, no i ładnie mnie „wypuścił”. Zawsze lubiłem grać ten standard i zawsze szukałem, co by tu nowego „odkryć” na swoim chorusie. Teraz poszedłem na ragtimowe zrytmizowanie całego przebiegu i po kilkunastu taktach z przyjemnością wyłowilem uchem „pomoc” sali: „—”! Dwa!, „—”! Cztery!, „—”! Dwa, „—”! Cztery!... — rytm kłaśnieć był coraz głośniejszy. Podziałało to i na „Mecenasa”, bo wejście trąbki z klarnetem poprzedził wyjątkowo „mięsi-stym” glissandem. Teraz cały temat w dialogu. Wszyscy znali kolejność, toteż chodziło tylko o to, aby przypadające każdemu w improwizacji cztery takty zagrać tak, żeby „podpalić” następnego, który przejmie dalszą część improwizowanego tematu. No i ładnie! Kłaniamy się. Duże brawa... długie... znów się kłaniamy.

4.

W niedzielę, w południe, nieoficjalnie dowiedzieliśmy się o wynikach Festiwalu. „Ragtime Septet”?... PIERWSZA NAGRODA!!!...ex equo?... Ooo... z „Me-Po”!... to było do przewidzenia.

Para konferansjerów w super kreacjach. Przewodniczący Jury — rektor wrocławskiej PWSM — odczytuje protokół, jest wręczanie nagród. — Big Band ZNTK z Piły — Puchar Przewodniczącego WRZZ.

— „Ragtime Septet” z Grajewa, reprezentujący województwo białostockie — I Nagroda i 10 tysięcy zł... dyplom, dodatkowe nagrody indywidualne... szachy... albumy.

— Zespół „Me-Po” — reprezentant związków zawodowych metalowców Szczecina — I Nagroda ex equo z...

W zakończeniu Jego Eminencja pochwalił w imieniu Jury organizatorów i wysoki poziom Festiwalu.

6.

Luźni i uśmiechnięci wchodzimy na scenę. Wzrok szybko przyzwyczajają się do reflektorów świecących prosto w oczy. Zza kulis dobiegł nas jeszcze przeraźliwy szept inspicjenta: „Panowie! Macie dziesięć minut!”. Czy mało? Koncert laureatów przedłużał się o bisy, a my gramy jako ostatni zespół. Publiczność zmęczona, my zamykamy całą imprezę.

Konferansjer: "...” „Ragtime Septet” zaprezentuje państwu następujące utwory: „Pan Franciszek na polowaniu”, „Wiązanke na tematy żołnierskie” oraz... specjalnie opracowaną na tegoroczny Festiwal w Jeleniej Górze „Parafrazę na temat II Rapsodii Węgierskiej” Franciszka Lista. Oklaski. Powabna prezenterka dodała nazwisko aranżera.

7.

Kazik zaczął „Franciszka” w tak kołyszącym bluesie, jakby miał zamiar cały utwór grać w takim tempie. Ciągnął stylowo. Janek z „Mecenasem” natychmiast się do niego dostroił. A Jurek spokojnie czekał. Leniwie uderzając w czynel dotrwał do końca wlokącego się niemiłosiernie tematu wstępnego i wszedł ze swoim czterotaktowym przejściem na alla breve. Werbel! Kociolki! Werbel! Czynel! Czynel! Tremolo... jedno... drugie i ... już. Sekcja, której „Mały” w ten sposób podyktował dwukrotnie szybsze tempo pulsowała jak najlepszy, szwajcarski zegarek.

Publiczność podziękowała oklaskami gęsto ale krótko. Rozumieliśmy się. Czekali na „Wiązanke...” To trzeba podać ze szczególnym smaczkiem. Czulem, że każdy myśli to samo... nabijam: Raz! Dwa! Raz, dwa, trzy, cztery...

...Kazio gra:... „Do rodziny Jaś przybywa, a tu zniwa, a tu zniwa...”, teraz przejście „Rataja” i puzon... ręce same klaszczą... znowu następna melodia... W czasie grania unikamy teraz jakiegokolwiek porozumiewania się, tak jak byśmy się rzeczywiście umówili. Przy zaskakujących zmianach tempa i dynamiki podoba się to wyrobionej publiczności... brawa po każdym wejściu... Koniec. Długie brawa. Biiiss! Dobra? Grammy „Parafrazę...”

Początek rozpocząłem sam na fortepianie jak w oryginale. Zrobiło się raptem cicho. Po granych ad libitum wstępie wchodzi teraz Kazik. W bluesie. Nieśmiało. Tak jak było uzgodnione. Wchodzi klarnet i za nim puzon. Słyszać miarowy rytm banjo. Napięcie wzrasta, ale banjo trzyma wszystkich równo... jak w cuglach..., teraz takie cygańskie zawieszenie melodii, trąbka z klarnetem w dwugłosie... i już z powrotem równe banjo. No proszę, jak oni kochają tego Lista. Stopniowo przyspieszamy. Powooli! Trzymać temperament!... Nie podniecać się!... Brawo sekcja. Koniec tej części i koniec przyspieszenia. Teraz Kazik, jak w oryginale, sygnalizuje na górnym „d” kilkakrotnymi ćwierćnutami, ustalone już tempo i ... dixieland na cały gwizdek. Fortee! Tę część improwizujemy... kończy chorus trąbka... brawa... Kazik się kłania... Janek kończy swoje solo trylem... brawa... skłonił się lekko... teraz ja... dobrze mi się gra... oklaski po moim solo... zupełnie jak na Jazz Jamboree... co za atmosfera. Teraz Jurek „kotłuje” na bębnach mało mu się pałki nie zapalają... no, ściszył pod koniec, czyli pamięta, że ostatnia część od piano... teraz unisono wszyscy... coraz głośniej... trzymać tempo, róóówno!... KONIEC! Euforia na sali... wrzaski... grzmot oklasków... niesamowite!...

Parafrazy nie będziemy bisować. Za dużo zdrowia nas kosztowała.  
— Jurek zaczynaj „Molto”!

W „Małym” diabeł usadowił się już na dobre. Ośmiotaktowy wstęp przeprowadził w piorunującym tempie. Nigdy tak szybko tego nie graliśmy, bałem się, czy Kazik swój refleks zdąży przestawić, ale on wyczuł, co wisi w powietrzu. Miał to być popis perkusisty. Kazio zamknął oczy, zgarbił się przy mikrofonie i poszedł za „Małym”... Całe „Molto” zagraliśmy pod bębny. Jurek w podziękowaniu zagrał przepiękne 32 taktowe solo. Znowu krzyki i ciągle „biiis” na różnych tonach. Jurek kłaniał się kilka razy. Pokazaliśmy jego jako głównego „sprawcę” wspólnej po obu stronach radości...

...Teraz rozpoczął „Rataj”. Banjo zabrzmiało tak jak u Armstronga. Po kilku taktach publiczność prawie wyje z uciechy... rozpoznali natychmiast... „He-e-e-lo ... Dolly!” — znowu niemalże śpiewa trąbka. Kochany Kazio! Już wszyscy rytmicznie klaszczą..., ale misterium! Florek podchodzi z tubą do mikrofonu. Spuścił, jak dziewica, oczy i „szyje równym ściegiem” ... noo... teraz „Mecenas” pokazuje glissanda... „Rataj” prosi o solo, dobra! Zgiął się w pół nad instrumentem i synkopuje. Skąd u niego tyle zaskakujących rozwiązań?... ładna lekcja... gliss puzonu i Kazik „drze się” w górze na trąbie... coś pięknego... znowu temat, sala wrzeszczy przeciągle: uuu!... tremolando na ostatnim stojącym akordzie. Dosyć! Koniec! Jesteśmy szczęśliwi! Daliśmy z siebie wszystko!...

Spoza ciemności reflektorów, oprócz ogromnego aplauzu, słychać nowe odgłosy. Co jest? Słychać łomot opuszczanych siedzeń... LUDZIE WSTAJĄ!!... Z końca sali słychać: STOO LAAT! STOO LAAT!... podchwytują to wszyscy... Boże!... Wszyscy na stojąco śpiewają nam „Sto lat”...

Spoglądamy na siebie jak małe, bezradne dzieci. „Mecenas” stara się ukryć wzruszenie, wydychając pracowicie wodę z wentyli, Kazik go naśladuje. Florek stoi na baczność i mruga szybko oczami, „Rataj” z „Małym” zastygli pochyleni... ukrywają twarze... nie wyszedł nam trenowany wspólnie ukłon, nieważne... Boże! Co za przeżycie! Cała dusza w kwiatkach..., wszystko we mnie śpiewa..., w gardle miękko, a tu jeszcze długie: NIEEECH ŻYJĄ NAAAM!!...

Wyprostowałem się natrafiając na wzrok Janka. W tym właśnie momencie, jednocześnie obaj, wymieniliśmy ze sobą bardzo poważne, głębokie spojrzenia...

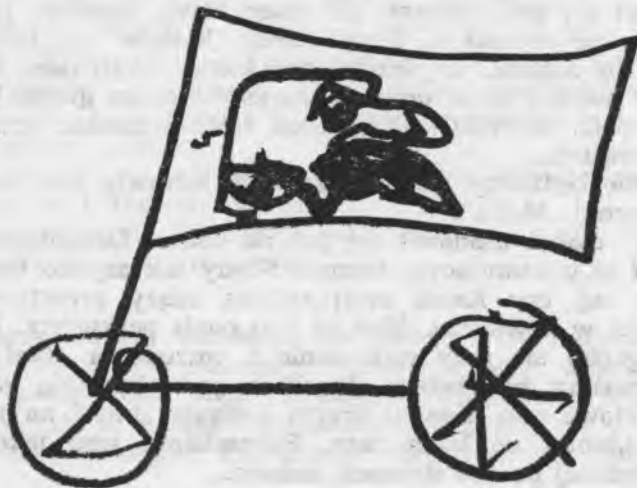
Bisowaliśmy jeszcze dwa razy „Hello Dolly!”, ale za każdym razem graliśmy inaczej.

## 8.

Nie udało mi się nigdy nazwać do końca wszystkiego, co w tych spojrzeniach zawarliśmy... A dziś... Dziś wiem, że oddać tego w żadnym ludzkim języku niepodobna. Próżna nadzieja!

Antoni Czajkowski

(Praca nagrodzona II nagrodą w konkursie pn. „Moja przygoda z kulturą”)



# LITERATURA

## I TY ZOSTANIESZ...

### Pamięci Zbigniewa Ślęczki

1. Historia, o której mam zamiar opowiedzieć, zaczęła się raczej dość niezwykle. Albo — najzwyczajniej w świecie. Od jakichś tam młodzieńczych zauroczeń, zamyśleń, podziwian. Był rok 1969, może 1970. Miałem więc z piętnaście-szesnaście lat, sporo mniej — czy bardziej — poronionych pomysłów i dziewczynę, która mi się podobała. Więc tak: panna BB, koleżanka z klasy, bardzo ładnie recytowała wiersze. Brała udział w konkursach recytatorskich; miejskich, wojewódzkich, nawet ogólnopolskich. Na jednym z takich konkursów dostała angażement do teatru poezji Ryszarda Wojnicza „Świder RCKF—14”. (Byli tam, zresztą, jeszcze trzej inni szkolni koledzy; jeden jest obecnie znanym dziennikarzem z TV, drugi, odnoszący znaczniejsze sukcesy na aktorsko-recytatorskiej niwie, pracuje jako lekarz w Elku, trzeci animuje lalki w Białostockim Teatrze.) Ale powróćmy do głównego wątku: otóż panna BB, jak nikt w klasie, recytowała wiersze. Tak więc i ja zacząłem robić to samo. No i udało się. Nie tyle może zdobyć względy klasowej koleżanki — ile całkiem co innego. Na jednym z miejskich konkursów recytatorskich (w małej sali Teatru Węgierki), w przerwie między występami konkursowymi a czymś tam, podchodzą do mnie dwaj panowie i powiadają mniej więcej tak:

— Słuchaj, czy nie przyszedłbyś do naszego teatru?

— A co to za teatr? — pytam.

— „Komu i co” — odpowiada jeden z nich. — Prowadzi Zbigniew Ślęczka, poeta z Białegostoku.

— Ślęczka... — mówię. — Wiem. Czytałem. — (Fakt! Nie było w tym próżnych przechwałek — boć zacząłem czytywać różne tomiki poetyckie i wykryłem „Pitaval białostocki”, gdzie Ślęczka opublikował kilka wierszy.) — Ale szkoła — no i co na to rodzice... — mówię.

— No to pomyśl i daj znać. — rzekli na koniec moi rozmówcy. Jak pamiętam, trudno mi było wtedy dać wiążącą odpowiedź. Wziąłem podstawowe „namiary” (adresy, telefony, dni i godziny prób) i obiecałem kontakt. Co do owego konkursu: BB przeszła wyżej — ja dumny jak paw z propozycji angażu do prawdziwego (nie szkolnego!) teatru poezji, wróciłem do domu.

(W tym miejscu kończy się historia uwodzenia klasowej koleżanki — zaczyna się przygoda z teatrem, poezją, literaturą. Z początku przygoda nie całkiem poważna — ale jej całkiem poważne skutki trwają do dzisiaj.)

2. Oczywiście, w baraku przy Cieszyńskiej 2 (chyba „2”), w którym

w ramach Międzyzakładowego Klubu Związkowego Pracowników Gospodarki Komunalnej działał teatr „Komu i co”, znalazłem się w pół tygodnia po konkursie. Tak na próbę — i na próbie. I było to trochę tak, jakbym znalazł się w innym czasie (niemądre sformułowanie — ale tak to jakoś odczułem).

Pamiętam: przypatrywałem i przysłuchiwałem się próbie recytacji wiersza (teraz powiedziałbym: przekładu wiersza na język teatru), gdzie Słaczka winterpretował w tekst poetycki sytuację, jedną z możliwych do scenicznego „wygrania” sytuację życiową, obudowaną zdarzeniami i emocjami, których w samym tekście nie było. I polecił recytatorce tak właśnie wiersz powiedzieć, by wszelkie te sprawy „zagrały”, by były odczytywalne. Kiedy po kilku tam próbach dziewczyna sprostowała wymogom, pan Zbyszek (wszyscy tak nazywaliśmy naszego reżysera) „dolożył” inne sytuacje i znaczenia, dopełniające poprzedni obraz sceniczny. Gdy wreszcie i to się udało — Słaczka przedstawił całkiem odmienną interpretację próbowanego wiersza i zasugerował recytatorce, by podłożyła podeń nowe znaczenia.

Nie miało się to nijak do „Ballad i romansów”, wileńsko-kowieńskich „Dziadów”, „Grażyny” i „Konrada Wallenroda”, które naówczas omawialiśmy w szkole. Po pierwsze: w „Komu i co” czytaliśmy wiersze współczesne, nie zaś z dwudziestych lat zeszłego stulecia; po drugie: co ważniejsze — w teatrze pana Zbyszka do utworu literackiego nie przylegała ( w dosłownym sensie tego wyrażenia) — tak jak w szkole — jego interpretacja.

Albo inaczej: interpretacja „przylegała”, czy też „przynależała” do pojedynczego tekstu — ale w odniesieniu do kontekstu scenariusza dramatu pojętego jako całość, w którym to dramacie dany wiersz, czy fragment wiersza był (chyba nie nadużywając znaczeń) integralnie pojętym elementem.

No i był to dla mnie szok. (Jasne, że nie operowałem całym organem terminologicznym, którego używam obecnie; oczywiście, że moje ówczesne pojmowanie literatury odnosiło się prawie wyłącznie do emocjonalnego jej odbierania, do „chwytania” inności odczytania utworu literackiego w teatrze Słaczki — w stosunku do szkolnych interpretacji, do fascynacji tą różnorodnością znaczeń. I pierwszych pytań o podstawy odmiennych konkretyzacji. Był więc to dla mnie szok.

3. Słów kilka o teatrze: aktorami byli tam ludzie z rozmaitych środowisk i o różnych zawodach. Bo i taksówkarz, i robotnicy, i urzędniczki, i (jedna bodaj) studentka, i kilkoro uczniów szkół średnich. Ale co charakterystyczne: łączyła nas (chyba tak było) potrzeba obcowania z poezją, łączyła nas wspólna „zabawa w teatr” i — najważniejsze — poczucie jego współtworzenia.

Słaczka przechodził z gotowym scenariuszem spektaklu. Tekst — i następstwo poszczególnych utworów — w pewien sposób narzucał główną myśl całości przedstawienia. Ale tylko „w pewien sposób”: bowiem wymowę takiej, czy innej, sceny opracowywaliśmy podczas prób sytuacyjnych. Wielokrotnie kłóciliśmy się prawie — i między sobą, i z gorliwie forsującym własną myśl panem Zbyszkiem — o znaczenie poszczególnych scen. Piszę „scen” — nie zaś „wierszy” — bo tekstu literackiego, słowa, nie mieliśmy w wielkim poważaniu. Traktowaliśmy słowo jako jeden — i to wcale nie najbardziej istotny — element języka teatru. Obok ruchu, gestu, światła, muzyki, kostiumu.

Najbardziej udanym spektaklem czasu, o którym opowiadałam, było oparte na wierszach futurystów, wczesnego i „średniego” Przybosa oraz Wieśka Kazaneckiego(!) przedstawienie „Ziemia śpiewa balladę”. Scenariusz napisał pan Zbyszek (mam jeszcze egzemplarz „w biorku”

— jak powiedziałyby Telimena), pomagał mu w tym czołowy nasz aktor — Mirek Karczewski. Rzecz była — mówiąc najogólniej — o dehumanizacji i automatyzacji człowieka. Zafascynowani techniczną cywilizacją ludzie zaczęli bezwiednie zamieniać się w bezimienny tłum, spośród którego wyłaniali się przywódcy — a każdy z nich, poza pozyskaniem tłumy, zabiegał o zbudowanie pomnika i siebie samego, i nowego świata, i nowego boga zarazem. Rósł więc na scenie kartonowy robot, zębatym kołem wystukujący rytm, w takt którego pełzał wielbiący „symbol naszych czasów”, tłum. Szczęściem, pozostał gdzieś „człowiek”, głoszący (słowami Kazaneckiego i Przybosia z „Równania serca”) stare i naiwne wartości (tak banalne, jak „miłość bliźniego”). Ale spektakl nie miał banalnej wymowy: bo oto „człowiek” zwyciężał połowicznie — o ile w ogóle zwyciężał. „Nowy świat” wraz ze swoim „bogiem” leżał w gruzach — ale i starych prawd nie miał już kto podjąć. Rzecz kończyła się balladą „ziemi” (znów Kazanecki), która tak mówi o człowieku (przytaczam ostatnią zwrotkę wiersza — ostatnie słowa spektaklu):

„(...) nie dostrzeżona nie odkryta  
zbyt wielka aby go zatrzymać  
zbyt mała żeby być mu światem”

4. W dużej mierze dzięki panu Zbyszkowi zaczęła się moja styczność z literaturą, próba nie-szkolnego na nią patrzenia. Siłą rzeczy zaczęło się i inne czytanie; także i nowy zestaw lektur. Zapragnąłem poznać — i zrozumieć — współczesną poezję, której przecież pan Zbyszek był — mniej, czy bardziej udanym — przedstawicielem.

Zacząłem czytać. Od Różewicza. W szkole — uważanego za najbardziej awangardowego poetę, bo bez rytmu i rymu. Potem przebrnąłem przez „Współczesność”. Pamiętam ogromną satysfakcję, gdy czytając wiersz Grochowiaka, Jerzyny czy Sadowskiej, który akurat nie kończył się wraz z końcem strony, umiałem już powiedzieć, że wiersz będzie kontynuowany po odwróceniu kartki. Dziwnie to brzmi — ale przestaje tak wyglądać, gdy wziąć pod uwagę ucznia, czytającego jako lekturę obowiązkową „Nad Niemnem” czy „Wolnego najmitę”.

Pamiętam „nieudane” próby „Ziemi...”, czy wcześniej jeszcze „Wielkiego Testamentu” wg. Francois Villona, kiedy to w klubie na Cieszyńskiej zbierała się zbyt mała ilość osób, by można było zacząć próbę sytuacyjną (nieraz nad kilkoma minutami „akcji scenicznej” pracowaliśmy dwie-trzy godziny!). Wtedy najczęściej, zamiast rozchodzić się do domów, jechaliśmy do Słaczki na Mickiewicza. I pan Zbyszek czytał nam swoje wiersze, opowiadał o warsztacie pisarskim, o psychologicznej, sytuacyjnej czy umiejscowionej w tradycji — lub bieżącym życiu literackim — motywacji napisania tego, czy innego wiersza. I o poetyckiej „transpozycji” zewnętrznego przecież wobec tekstu, materiału.

Z takich „nieudanych prób” zazwyczaj wracałem do domu znacznie później, niż z prób „prawdziwych”.

5. W 1972 roku byłem w klasie maturalnej, chciałem zdawać na warszawską polonistykę. Mój wybór kierunku studiów zdziwił był głównie szkolną matematyczkę. (Podczas nauki w liceum z powodzeniem brałem udział w olimpiadach matematycznych!).

Zbliżyły się egzaminy. Przyobiecałem (wiadomo komu) zająć się maturą, a nie „nic nie dającą” pracą w jakimś tam teatrze poezji. Udział w Ogólnopolskim Przeglądzie Teatrów Poezji w Koninie w 1971 (może w 1972), gdzie pojechaliśmy z „Ziemią...” zakończył moje uczestnictwo w „Komu i co”. Ale nie przerwał spotkań z panem Zbyszkim. Ilekroć już w trakcie studiów przyjeżdżałem do domu — starałem się



znaleźć trochę czasu, by go odwiedzić, pogadać. Starał się być — i raczej był — „na bieżąco”. W mieszkaniu w budynku przy Mickiewiczu (gdzie jeszcze kilka lat temu mieściła się poczta, a po którym to budynku nawet śladu nie zostało — nie wiedzieć czemu: zaś był to zabytek z czasów batiuszki-cara!) widniały na półkach roczniki „Poezji”, „Miesięcznika Literackiego”, „Dialogu”, „Nowego Wyrazu”, „Teatru”...No i gadaliśmy. O moich studiach, o teatrze „Komu i co”, o życiu literackim w ogóle — a Białostoczczyny w szczególności; o tym, co pan Zbyszek aktualnie pisze — a pisał coraz mniej. Coraz mniej wierszy — coraz więcej „dla chleba”. I było w nim chyba mniej zapалу — a więcej goryczy: wobec wydawnictw, redakcji czasopism, które nie chciały jego wierszy. I jeszcze pamiętam rozmowy z Gosią Szyzsko w akademiku na Kickiego, będącą rok — czy dwa — wyżej na studiach polonistycznych ode mnie. Rozmowy dotyczące ostatnich wierszy Ślączi — zaczętych i skończonych gdzieś mniej-więcej w poetyce „Współczesności” czy „Orientacji”; tekstów, które nie znalazły się w druku wtedy — i już nie znajdują się teraz. A jeśli już — zostaną odebrane jako spóźnione o dwadzieścia lat.

6. Skończyłem polonistykę w 1977, wróciłem do Białegostoku. Sam zacząłem pracować w najogólniej rozumianym „nauczaniu literackim”. Nadal spotykałem się ze Ślączką. Ale już trochę inaczej. Teraz ja zacząłem krytycznie oceniać jego wiersze, przypisywać je do różnych poetyk, wytykać niedociągnięcia brzmieniowe, rytmiczne, syntaktyczne. Nadto: były to ciągle te same teksty, niezmiennie od pięciu-sześciu lat. Pan Zbyszek gubił gdzieś w sobie „bycie poetą”. Niedowartościowany, ponad pięćdziesięcioletni człowiek mający za sobą tylko jeden tomik autorski, operujący wciąż tym samym stylem, który stworzył — czy przejął — w duchu poetów lat 1956—60; albo lepiej: która to poetka była mu na tyle bliska, że nie potrafił, a raczej chyba nie chciał (bo była to poetka właśnie jego) od niej się wyzwolić. Kiedy w 1984 roku latem przeglądałem wydany przez białostocki WDK drugi autorski tomik poetycki Ślączi — znalazłem tam wiersze znane mi od -nastu lat. Jeszcze z okresu „nieudanych prób” w „Komu i co”.

Pan Zbyszek zmarł niespodziewanie przed rokiem.

Z tak bardzo subiektywnego punktu widzenia jaki od początku do końca tego swego pisania tu prezentuję, jedno mogę orzec z prawdopodobieństwem bliskim prawdzie: dzięki panu Zbyszkowi, lub też „z jego winy” — i ja zostałem polonistą. I to wspomnienie pozwolę sobie zakończyć słowami „satyryka, błazna i ladaco” — jak sam o sobie pisze Andrzej Waligórski:

*„(...) Polonista — niepoprawny romantyk  
nie największym się cieszy mirem,  
ale ja mu laury i akanty,  
ale ja mu kadzidło i mirrę, (...)  
Bo jeżeli jesteś i ja jestem  
to dlatego, że stojący na warcie  
polonista znużonym gestem  
kartki książek wertował uparcie.  
Za Keisera, i za Hitlera, i za cara,  
i za różnych innych paru  
i dlatego właśnie nie umiera  
coś ważnego, co nazywa się: „naród”. (...)”*

**Janusz Taranienko**

(Praca nagrodzona II nagrodą w konkursie „Moja przygoda z kulturą”.)

## ECCE HOMO

wczoraj urodziłem się za wcześnie  
dziś urodziłem się za późno

wczoraj mnie jeszcze nikt nie znał  
dziś nikt mnie znać już nie chce

wczoraj gdy przechodziłem rysowano kółko na czole  
dziś mnie wytykają palcami mówiąc jaki on konserwatywny

jutro nie włożę spodni wychodząc na ulicę  
ale wiem że już jutro nagość nie będzie buntem

## SKAZANIA

Są różne rodzaje skazań:

skazanie na więzienie

skazanie na pracę pod przymusem

skazanie na samotność

skazanie na życie z kobietą której indywidualności musisz się pod-  
porządkować

skazanie na życie z mężczyzną którego indywidualności nie możesz się  
podporządkować

— podporządkowanie

— ugięcie

— ustępowanie

— przyznawanie racji

— wymuszanie

— wykonywanie rozkazów

— wykonywanie prośb

— wykonywanie gróźb

— odgadywanie życzeń

— wyprzedzanie życzeń

— łaszenie się

— podlizywanie się

— poniżanie

— okłamywanie

— obłuda

— pogarda

— rezygnacja

— bunt?

— zrozumienie konieczności

— pokorne cieleń dwie matki ssie

skazanie na nienawiść

skazanie na niepamięć

Skazania są niewybieralne

Zbigniew Słaczka

# KALEJDOSKOP KULTURALNY

Co słychać w terenie?

## DYREKTORZY

W tej stałej rubryce ma być o tym, co się wydarzy, zmieni lub też nas zaskoczy w obiektach upowszechniania kultury naszego województwa. I pewnie w najbliższej przyszłości — będzie. Póki co, jednak nic godnego uwagi nie wydarzyło się w ostatnich miesiącach, a ze zmian notujemy jedynie powstanie nowej placówki GOK w Dubinach gmina Hajnówka. Mówię — jedynie, gdyż, jak powiadają: jedna jaskółka nie czyni wiosny, a przy tym mamy zimę i kryzys jakoś nie odleciał do ciepłych krajów.

Na całe szczęście jest trochę zaskoczeń, które w szarej codzienności umykają naszej uwadze i dlatego warte są przytoczenia.

GOK w Szudziałowie, prócz tego, iż jest nieźle działającą i potrzebną placówką k-w, od dłuższego czasu został obciążony jakimś dziwnym zarządzeniem losu. Jak tylko obejmie stanowisko dyrektora w ośrodku młody mężczyzna, to zaraz dostaje powołanie do wojska. A kiedy przejmie tę placówkę kobieta, wiadomo, że rychło uda się na urlop macierzyński. Jest to ewenement, w odróżnieniu od długowiecznych stanowisk dyrektorskich, a poza tym rzadki przykład łączenia w placówce upowszechniania kultury i oświaty, pięknego z pożytecznym. A to, że ów GOK mimo wszystko działa świadczy niezbicie o jednym: — nie dyrektor, lecz chęć szczerą nam kulturę wspiera.

Dyrektorzy w GOK-ach, to w ogóle rzecz niezwykle interesująca. Mamy, na przykład, dziesięć placówek w naszym województwie, gdzie jedynymi pracownikami są właśnie dyrektorzy. Należy do nich wszystko. Od palenia w piecach, przez administrowanie, pisanie planów i programów, do prowadzenia zajęć włącznie. Jaki może być tego efekt, możemy tylko sobie wyobrazić. Podobno jednak nie ma GOK-u, jeśli nie ma w nim dyrektora i rozbitcie takiego etatu na dwa niższe rangą, ale pewnie skuteczniejsze w działaniu, nie wchodzi w rachubę.

Gdyby się jednak komuś wydawało, że jest to nieporozumienie dzisiejszego czasu, byłby w niebywałym błędzie. Już dwadzieścia lat temu, żeby ktokolwiek chciał pracować w klubie, komisyjnie nazywało się takie pomieszczenie świetlicą i zatrudniało kierownika z pensją wyraźnie różniącą się od poborów klubowego.

Kierownik kierował zatem wyłącznie samym sobą. Obecny dyrektor — dyrektoruje także samemu sobie i wszystko gra, prócz jednego, że w takiej placówce jak GOK, która na dokładkę ma instruować Kluby w terenie gminy — nic i nikt tak naprawdę nie gra.

Czasem bywa odwrotnie, jak w przypadku GOK-u w Kleszczelach. Jest tam bowiem dyrektor, któremu, co prawda, grają zespoły dziecięce, ale generalnie przestało grać w samym budynku kultury, który się na tyle rozleciał, że trzeba szukać ratunku w obiekcie Ochotniczej Straży Pożarnej. Trudno się jednak temu dziwić. Jeśli bowiem tylko dyrektorowi kapie z dachu na głowę, to albo rozkłada nad biurkiem parasol, albo grzeje się w ciepélku własnego mieszkania.

Mówiąc krótko, dyrektor w kulturze — może to brzmi dumnie, ale obecny sposób etatyzacji w GOK-ach winien ulec radykalnej zmianie. Nie zapominajmy o czasach, po których pozostali nam dyrektorzy: bez



zbankrutowanych zakładów, nieistniejącej dla nich załogi i własnych biurów rozbijanych zbyt twardą ręką.

Jak jednak trudno wprowadzić nowe, tam, gdzie zasiedziało się stare widać wyraźnie w Turośni Kościelnej. Nie mieli GOK-u, ale posiadali etat dyrektora. W związku z tym Naczelnik Gminy zatrudnił tamże instruktora, którego zadaniem jest między innymi instruować kierowników klubów w pobliskich wioskach. Klubów jest dziesięć, instruktor jeden i białej plamy w kulturze nie ma. A to, że robi się od tego aż czarno w oczach nie ma jakby znaczenia. W okularach przecież nie notujemy braków.



Mówiąc o dyrektorach wspomnijmy także i o tych najlepszych, jak choćby Genowefie Łucjanowej z Bociek, która jest nie lada osobowością. Co jednak będzie dalej? Nawet Pani Genowefa ma trudności z wybraniem następców. Jak jednak twierdzą doświadczeni kadrowcy d/s kultury, nie tylko w Boćkach, ale w całym kraju coraz trudniej znaleźć chętnych na te stanowiska. Pracują dwa razy dłużej w ciągu doby niż pozostali zatrudnieni w gospodarce uspołecznionej, a zarabiają, co najmniej, dwa razy mniej.

Niełatwo być dyrektorem, w kulturze szczególnie, a jeszcze jest się narażonym na to, że przyjdzie petentka i zapyta:

Dyrektorze  
Czy Pan może?!

Ogłoszenia:

W Hajnówce poszukuje się usilnie dyrygenta chóru.

W Bielsku Podlaskim jest zapotrzebowanie na choreografa.

Maciej Skarga

Maciej Skarga

Wiadomość z ostatniej chwili

Instruktor z Turośni Kościelnej stał się już dyrektorem. W dalszym ciągu brakuje GOK-u.

M.S.

## ROZSTRZYGNIĘCIE KONKURSU

### „Moja przygoda z kulturą”

Jury w składzie: Andrzej Koziara, Wiesław Kazanecki (przewodniczący), Wojciech Szlachowski, Iwona Wąsowicz-Szczepaniak (sekretarz jury), Jan Trochimiak po zapoznaniu się z 21 pracami i długotrwałej dyskusji postanowiło co następuje: nagrody I nie przyznać ze względu na brak takiej pracy, która zdecydowanie górowałaby nad pozostałymi. Przyznać trzy równorzędne nagrody II w wysokości każda po 20 tys. zł następującym laureatom:

Antoniemu Czajkowskiemu — godło Księżyc

Tadeuszowi Ciegierowi — godło Tarpan

Januszowi Taraniencie — godło Jota

Dwie równorzędne nagrody III w wysokości każda po 15 tys. zł następującym laureatom:

Kazimierzowi Konstantynowiczowi — godło Brygida

Piotrowi Prawdzikowi — godło Amator

Trzy równorzędne wyróżnienia I stopnia w wysokości każde po 10 tys. zł następującym laureatom:

Romualdowi Józkowowi — godło Contratenor

Lucjanowi Kuleszy — godło Zyga

Tomaszowi Wiśniewskiemu — godło XXX

Pięć równorzędnych wyróżnień II stopnia w wysokości każde po 5 tys. zł następującym laureatom:

Kazimierzowi Derkowskiemu — godło Kryptonim 23

Teresie Kamińskiej — godło Bożenka

Antoninie Kunie — godło Wspomnienia

Ninie Muszyńskiej — godło Jubilatka

Przemysławowi Skarżyńskiemu — godło Skorpion

W dyskusji podsumowującej członkowie jury zwrócili uwagę na szeroki zakres i różnorodność przedstawionych w pracach problemów. W sumie plon konkursu posiada dużą wartość faktograficzną i dokumentacyjną. Natomiast znaczne zróżnicowanie jury stwierdziło w poziomie literacko-estetycznym nadesłanych prac. Wszystkie te elementy (waga i zakres problemu, wartości faktograficzne oraz literackie) zostały uwzględnione przy rozdziale nagród i wyróżnień. Jury podkreśla potrzebę kontynuowania w latach przyszłych tego rodzaju konkursów, a także — w perspektywie — wydania książkowego najlepszych prac. Jury wyraża podziękowanie i uznanie wszystkim uczestnikom oraz organizatorom konkursu.

Wręczanie nagród Fot. B. Czaplewicz



We współczesnym świecie wraz z rozwojem techniki i gospodarki, skomplikowaniem procesów produkcyjnych a także stosunków społecznych wzrasta rola, znaczenie i liczba przepisów prawnych. Dobremu wykonywaniu obowiązków służbowych powinien sprzyjać przede wszystkim obowiązujący system prawny oraz jego jasność. W przypadku zaś zawilości prawnych bądź interpretacyjnych duże znaczenie ma dążenie do właściwej wykładni i prawidłowego stosowania prawa w praktyce.

Wszelkie niejasności, te codzienne, będziemy starali się wyjaśniać i naświetlać w tym jak i w następnych biuletynach.

W tym numerze chciałbym zająć się dwoma tylko zagadnieniami, zwykłymi z pozorów, ułatwiającymi w jakimś sensie pracę w zakładzie pracy.

Pierwsze zagadnienie to kwestia dojazdów pracowników do pracy i częściowego pokrywania kosztów pracowniczych biletów miesięcznych przez pracodawcę.

Zagadnienie to uregulowane zostało uchwałą Nr 254 Rady Ministrów z dnia 6 grudnia 1982 r. w sprawie pracowniczych biletów kolejowych i autobusowych (Mon. Pol. Nr 30, poz. 260 z 1982 r.). Zgodnie z § 1 i 2 uchwały zakłady pracy mogą częściowo zwracać swym pracownikom koszty dojazdów do pracy koleją lub autobusem PKS w wysokości 60 % należności taryfowej zakupionych biletów. Te same zasady stosuje się przy rozliczaniu kosztów przewozu pracowników do pracy i z pracy, organizowanego przez uspołeczniony zakład pracy środkami transportu samochodowego publicznego lub branżowego, w drodze najmu lub umowy przewozu.

Natomiast zagadnienia rozliczania dokonywanych przez pracowników zakupów dla zakładu pracy uregulowane zostało zarządzeniem Ministra Finansów z dnia 27 kwietnia 1981 r. zm. zarządzenie w sprawie ogólnych zasad rachunkowości jednostek gospodarki uspołecznionej (Mon. Pol. Nr 12, poz. 94/1981).

Zgodnie z tym zarządzeniem zakłady pracy zwolnione zostały w wyjątkowych sytuacjach od obowiązku uzyskiwania rachunków na dokonywane zakupy w handlu uspołecznionym, pod warunkiem złożenia wraz z paragonem oświadczenia przez pracownika dokonującego zakupu o niemożności uzyskania na ten zakup rachunku oraz o rodzaju, ilości, jakości i cenie towaru.

Dla ważności złożonego oświadczenia przez pracownika i dla jego realizacji kasowej wymagana jest akceptacja na oświadczeniu kierownika jednostki organizacyjnej.

Kazimierz Konopka

F

**Patosowi przypisany**

I do urny  
Weźmie z sobą koturny



R

**Spec od historii**

Historię ojczystą wybiela:  
to białe myszki zjadły Popiela



A

**Nie przeczę**

Energia w narodzie, owszem, jest,  
Lecz częściej poza i gest



S

**Akrobatyka modna**

Ludzkiego morale  
Salto mortale



Z

**Zbawienie rzecz prosta**

Ze zbawieniem niewielki dziś kram,  
Dyrektywa prosta: zbaw się sam!



K

**Konsolacja**

Gdy miłość do pracy staje się kruchą,  
Zawsze romans mocny pozostaje z fuchą



I

Zbigniew Waydyk







no. 2. 1950